

Aby dojść na wojskowe pole wzlotu w Basza, przejść trzeba było po przegnitym mostku na bagnistym potoku, obramionym gęstymi z obu stron zaroślami.

Tędy też biegła szybko Berta, nie bez lęku zresztą po raz pierwszy w życiu.

Coś niby przecucie złe niepokoiło jej wzburzony umysł. Palce wycierała wciąż o skórzane spodnie.

Był mrok i mgła leżała nisko, nad ziemią.

— Dobrze, że tak ciemno, bo a nuż dojrzałabym krew na moich dłoniach! — myślała strwożona.

Wtem drgnęła, zwolniła kroku...

— Ach, nic, przewidzenie, to jeno krzak tarniny, zakołysał się na wietrze.

...Prędzej! Naprzód! Niema ani chwili do stracenia. Tam ten cudny, słodki chłopiec lada godzina Paś może od kuli! — I dopiero teraz zrozumiała należycie, jak drogim jej jest ponad wszystko!

— Pewnie złorzeczy mi w tej chwili! Boże! niedopusć! Boże wspomóż! Najprzód ojciec — a teraz syn!!.. Co za fatum straszliwe.

...Zwątpieś we mnie, maleńki! Nienawidzisz mnie? Pogardzasz mną?

...Ale mniejsza o mnie, byle on żył! Niech wraca do matki, z czasem zapomni o niegodnej, pohula znów i będzie szczęśliwy!

...Uratuję go! Muszę go uratować! Prędzej, prędzej — zawołała głośno.

— Nie, za prędko, moja miła — zacharczał tuż koło niej nienawistny, gardłowy głos.

Stanęła jak wryta.

— Duch, nie duch? Trupy wstają z martwych?

I w tej samej chwili dziesięć stalowych palców zacisnęło się koło jej wypieszczonej szyi.

Chciała chwycić oddech... Darremno. Wrogie pazury duszą ją coraz bardziej. Zwiła bezwładnie i wraz z ostatnią śliną wypłynął z ust jej szept-rzężenie:

— Przy...ja...cie...lu! Ma...leń...ki! Prze...bbb...

— Taaak, kochaneczko! Zbyt szybko chciałaś się mnie pozbyć! Złe strzelasz!

...Ręka rozpustą zżarta, zadrżała. No i ot leżysz!...

...A szkoda ciebie! Piękna byłaś, do szaleństwa! Kochałem! Ale trudno! — bredził sam do siebie rudy Czech.

— A teraz czas najwyższy!

Szybko i zgrabnie rozebrał ją do bielizny i ująwszy bezwładne ciało w ramiona chlusnął nim do bajury.

Lepka, mulista woda rozstępowała się zwolna, urocza lady Woorms zanurzała się coraz głębiej... Jeno jasne włosy, pływają jeszcze, wkrótce ślizgie ramiona moczaru wciągnęły i tę niegdyś tak pożądaną ozdobę pięknej kobiety w czarną głąb...

Znikła, tylko koła szły coraz większe po wodzie.

— Nim cię znajdą, zgnijesz do cna! Nie pozna cię żaden nawet kochanek!

Zrzucił swój mundur na trawę i przywdział zgrabny kostium sportowy Mylady. Byli jednego prawie wzrostu. W kieszeni bluzy zaszeleściły papiery. Czech uśmiechnął się jadownicie.

— No, to teraz jestem pewny! Nikt mnie już nie zdradzi, Kto nie żyje ten milczy, napewno!

I damskim płaszczem otulony zagłębił się w zarośla...

— Mylady! Bardzo późno już! Mgła!

Ale tak nazwana postać, z zakrytą twarzą machnęła z niecierpliwością ręką.

Podeszli oboje do aparatu. Wkrótce motor zawarczał.

— Proszę wsiadać!

Dama w płaszczu zajęła miejsce w latawcu.

Amerikanin, z fajką w zębach, majstrował coś koło propelera.

— Ki djabel — mrucał sam do siebie — odmienił mi Mylady?

Chodzi jak kapral... A może to wina spodni? Ależ nie, te nogasy ogromne — to nie jej, o tu ślad na piasku i do tego słowem się nie odezwie. Boi się mówić? Coś mi to podejrzane! Kostjum jej, płaszcz też, ale ruchy? Ej! Stary chłopie, chcą cię podejść! Ale nie będzie nic z tego, jakim Jim!

Podszedł do motoru.

— Przepraszam, ale muszę jeszcze narzędzia wyjąć z torby!

I oparł się całym ciałem o kolana siedzącej. Pod ręką, w kieszeniach skórzanych spodni namacał broń.

Wyjął klucze, zakręcał, odkręcał, wreszcie krzyknął: „Gotowe”!

i raz jeszcze pochylił się nad swym pasażerem chowając przybory.

Potem lekko wskoczył do środka, zatrzasnął drzwiczki i pchnął korby.

Stalowy ptak zwolna wytaczać się począł z mrocznego hangaru — trzema kółkami muskał zioła i trawy lotniska, a potem oderwał się od ziemi i linją ukośną wzbił w górę.

Trawa, krzewy, budynki, światła — zapadało się wszystko coraz głębiej a oni zdawali się stać w miejscu i dygotać w takt śruby.

Wreszcie przebili gęstwinę mgły i nad niemi zaśnił błądliwy księżyc i błękitny strop nieba.

Sunęli teraz z hałasem motoru jakby po morzu białej waty. Ziemi pod spodem nie widać było wcale, zakrywały ją wilgotne opary.

Lotnik i pasażer nie mówili nic do siebie, zresztą i tak trudno byłoby rozmawiać w tym huk.

Gwiazdy nad niemi uciekały, uciekały w szalonym pędzie w tył, oni stali, napozór wciąż w miejscu.

Nagle aeroplan począł się zniżać...

Pilot, podniósłszy zasłonę z nad ust, krzyknął:

— Stac'a benzynowa — Kurne!

A wtedy — ten drugi obrócił się ku niemu na siedzeniu, gwałtownie zdarł z twarzy haubę i brauningiem mierząc w pierś pilota wołał z całych sił, by być słyszany

— Zabraniam lądować! Jesteś moim więźniem! Rozkazuję jechać prosto do Bagdadu, nie zatrzymując się nigdzie, na niemieckie lotnisko!...

— Rozkazujesz? Mnie? Śmieszne!

— Inaczej kula w łeb!

— Nie strzelisz i tak! — wołał Amerykanin, nie tracąc zimnej krwi...

— To zlecimy obaj na pysk!

— Ale zato ja cię zawiozę prosto pod stryczek!

— Zastrzelę jak psa!

— Well! Słuchaj!

Tymczasem aparat opadał, lotnik wstrzymał motor, szczerząc zęby w uśmiechu, od ucha do ucha.

Zaległa cisza...

Kilka metrów tylko jeszcze dzieliło ich od ziemi. Przelatywali właśnie nad Eufratem...

Obcy błyskawicznie spojrzął na dół i wyskoczywszy na parapet samolotu pociągnął za cyngiel...

Rozległ się suchy trask. Broń zawiodła

— Bałwanie jeden, tam niema kul! Wyjąłem wszystkie! No?

I silnym rzutem kierownicy wzbił latawca w górę.

Zacharczała maszyna, zadygotała i posłuszna poddała się woli człowieka.

A obcy, stał na krawędzi, trzymając się stalowych drutów — ogłupiały.

— „Goddam”! Siadaj! — huknął nań lotnik i uderzył pięścią w twarz.

— Jezu! — jęknął stojący mężczyzna, zachwiał się i runął głową na dół, w wodę...

— Oho! Już po nim! — krzyknął pilot i spojrzął na rzekę... — Trzeba wyciągnąć go z tej topieli. Może dowiemy się co to za ptaszek? Do Niemców chciał, cholera!

I za chwil parę statek powietrzny osiadł na pobliskiej łące.

Z baraków wybiegli żołnierze...

— Prędzej! prędzej! Łódź na wodę! Tam człowiek tonie!

Zbudzony hałasem wyszedł przed dom i sierżant Tom Ilić, komendant stacji lotniczej w Kurne.

Jak się tam znalazł? O tem niech opowie jedna z tych luźnych przygód wojennych, co dziwnie nieprawdopodobnie kierowała losami ludzi.

Dość, że ocalał też w potyczce z ścigającymi go wrogami, choć nie bez kontuzji. Dopomógł mu może straszliwy Samum?!

Wyleżawszy się w szpitalu, wrócił znów do służby.

Oto wszystko! Takie przecież proste.

Teraz — stał w koszuli tylko, przeciągając się jeszcze ze snu.

A od rzeki szli zwolna ludzie niosąc topielca. Przodem biegł pilot. Poznał kolegę.

— Aaaa! Jak się masz Tom! Świetnie, że tu jesteś! Pomóż mi! Złożono obmoknięte ciało na stole w dyżurnym pokoju.

Rudy Czech — Erni już nie żył.

— Spadł z tak wysoka! Nic dziwnego! Zabił się od razu. Uderzenie w mózg — to zabójcze! No tak, wewnętrzne obrażenie! — tłumaczył oficer.

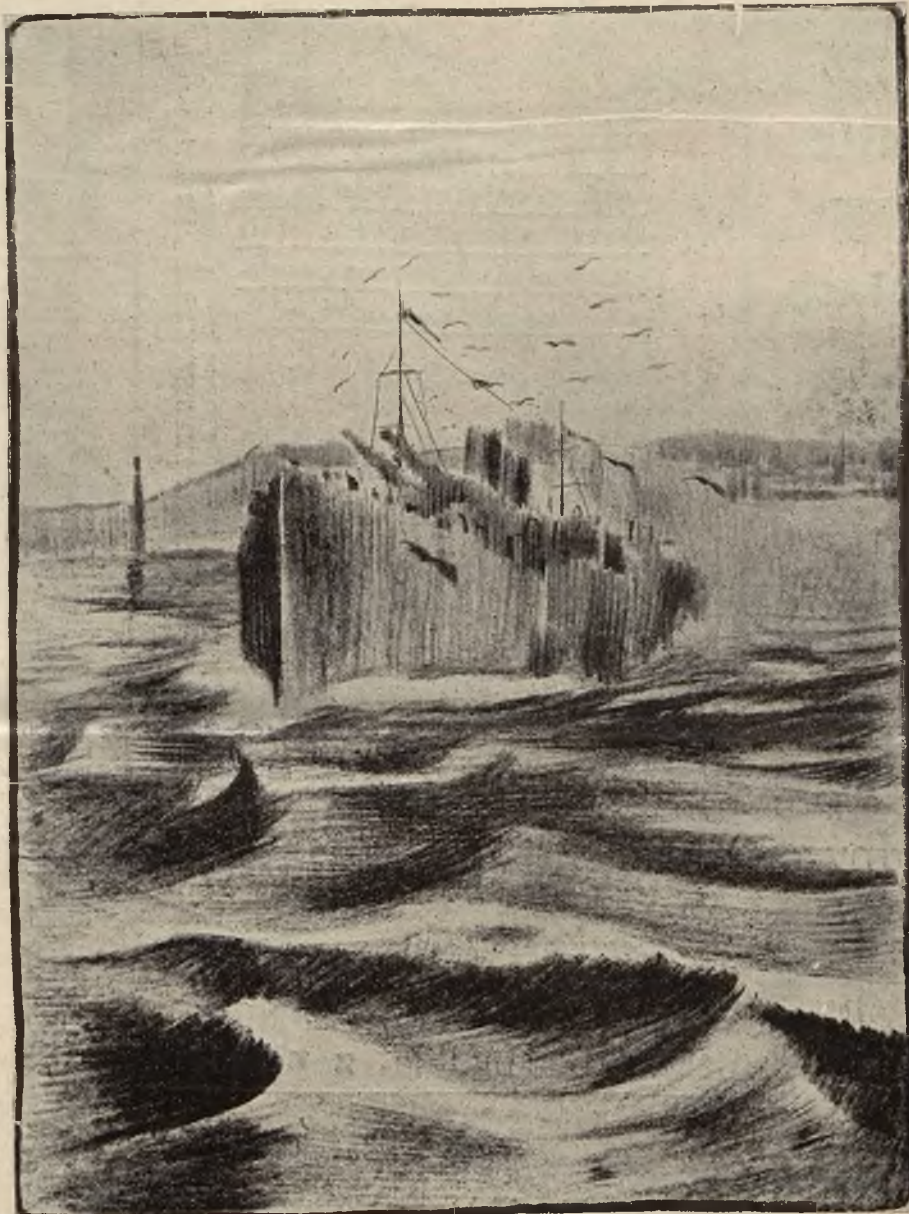
— Ale co się właściwie stało? — dopytywał Tom.

Lotnik opowiadał w krótkości całe zajście.

— A teraz trzeba go obszukać, może co znajdziemy.

Jakoż rozpiąwszy bluzę natrafili na plik papierów. Skóra ochroniła je od zamoknięcia.

(Dokończenie nastąpi).



Krażownik wojenny „Manchester” majestatycznie odbijał od brzegu.